

# DZIS: JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 20 czerwca 1948 r.

Nr 25 (134)

# WIEC NA ŚRODKU ŚWIATA

Nie ma zebrań spontanicznych. Dyskutanci zwyciężają siebie zrecznością kompilacji terminologicznych. Gdzie jest prawda?

Wyobraźmy sobie mówcę, który gdzieś na środku świata, choćby na skrzyżowaniu Aleii i Marszałkowskiej takim pytaniem rozpoczęłby głośną spowiedź swych najintymniejszych rozmyślań. Przestałby widzieć tłum ludzi otaczającego. Przestałby pamiętać gdzie jest i do kogo mówi. Zato piłyby się bez reszty w swej ludzkiej istocie. Jak spiker ogłaszałyby wrażenia z defilady doświadczonych, myśli i spostrzeżeń. Plez gołych prawd nazwałby imieniem przekonujących wszystkich.

A słuchacz? Są nimi ludzie — zwykli, codzienni, autentyczni. Mówca jest głosem tylko. Nikt go nie widzi, nie chce widzieć, lub nie dostrzega. Jego wołanie jest słyszalne tylko w ciszy i nieruchomości. Stańcie więc wszyscy! Uciszcie się, — niech w tłumie każdy znajdzie samotność i zatopi się w sobie. Usłyszycie jego głos. Jest to głos tęsknoty za doskonałością, który każdy usłyszał choćby raz jeden w życiu. Poświęćmy mu misterium wlecowe. Niech woła przeciw krzywdzie dziejącej się człowiekowi. Niech będzie dysonansem w ładzie pozorów. Niech uzbroi czynny mądrością, a myślom wróci wolność.

O taką wolność musimy walczyć. Przeciwnikami naszymi są wieki tradycji i całe życie nasze. Wolność myśli to wyzwolenie własnego sądu z pod władzy utartych terminów i gotowych określeń. Pojęcia zaszyte są w nazwy. Stają się nieomal rzeczami, przedmiotami. Żyjemy samą nomenklaturą, ceniąc formę bardziej od treści. Treść własnych doznań. Podmieniamy je rzeźbą cudzych znaków. Humanizm staje się komodą z szufladami kanonów. Kultura jest wystygła i pogrzebana pod płytą sformułowań. Odwyzaczyliśmy się myśleć. Wyszukaliśmy nam nazwy. Nasze myśli płynące z doznań hamuje panoszące się uproszczenie i łatwizna. Panują powierzchowne, syntetyczne słowa. Nikt nie sprawdza treści zgromadzonej pod szybkim rzucającym słowem. Mechanizm segregowania ich jest koniecznością życiowego pośpiechu. Pojęcia pozostają nieodkryte. Znana jest ich nazwa, wystarcza ona na określenie stosunku do nich.

Nikt nie konfrontuje ich wartości przez własne ich odkrywanie. Walory są uśmiercane emocją beznamiętności, która jednocześnie uświeta ich wady. Mumie przesądów są ekshumowane, a pojęcia żywe ulegają pogrzebaniu przez tradycje dziedziczonych uczuć. Życie przestaje być twórcze. Przyczyna tego stanu jest stosunek do prawdy. Jest to inwazja wyświechtanych słów, bezkrytycznego przyjmowania cudzych określeń, unieruchomienia aparatu osobistej oceny.

Prawda kryje się za parawanem nazw. Przestałoby prawdy szukać w sobie, przecząc spirytualistycznej teorii naszego bytu. Spły-

ciliśmy naturalny głód jej poznawania do żonglerki formułowania jej nie zadając sobie trudu dobrania się własną myślą do treści. Upajamy się mówieniem o prawdzie, a nie przeżywaniem jej. Chrzcimy ważkim słowem z przypadku poczętą myśl. Taką jest nasza wiedza. Powinna ona służyć prawdzie. Wiedza narastająca beładnie zwiększa dystans do prawdy. Szuka jej we wszystkich kierunkach, daleko na horyzon-

tach ludzkich możliwości. A prawda jest bardzo blisko. Najbliżej — jest w nas. W naszym pragnieniu zbliżenia się do absolutu. W centrum naszego jestestwa. W naszym przeświadczeniu o rzeczach widzialnych, niepokoju rzeczy niewidzialnych. Często uczucia spontaniczne odkrywają nasze wnętrza. W nich skupiona jest prawda: o życiu, o sensie, o szczęściu. Cóż kiedy od samych siebie jesteśmy najdalej. Prawdy tam nie

znajdziemy. Zawróćmy pokornie — ona jest w nas, nie poza nami. Złożmy jej hołd — wiedzą, tym uroczyściej im więcej jej posiadamy. Wiedza wtedy będzie służyć nam samym. Inaczej będzie tytorem pustym, a gromadząc się tak dalece przysłoni prawdę, że wreszcie przeciw niej się obróci. Tak też powstaje paradoks, że wiedza niszczy prawdę. Zapanuje królestwo ślepców. Szaleńcy posięją spustoszenie.

Słyszec prawdę, to słyszec tętno życia. Pulsem świata jest istota ludzka. Cywilizacja ta jest antyludzka, zasypana patyną martwych liter. Wiedza — to regim nazw. W posępnym ich autorytecie, jak w pancerzu, wysychają pojęcia odcięte od wpływów wskrzeszającej je myśli. Człowiek partię swego życia rozgrywa przypadkowo otrzymanymi z talii wiedzy kartami, znając mechanistyczne, umowne starszeństwo ich. Przestałoby oddychać pojęciami, osobistymi wrażeniami intelektualnymi, wchłaniać słodycz wielkiej mądrości, która przesyca świat.

Nie dostrzegamy życia pogańsko zatopieni w bałwochwalczym kulcie naszej spaginowanej kultury.

Ujarmiamy materię, stając się jej niewolnikami. Dotykamy poznaniem fragmentów, błądzimy między nimi uczuciami, by w końcu tragicznie odejść, pomnażając dziełem swego życia groźbę tego świata. Błądząc na szlakach skolatanej bezradności zatracamy poczucie wewnętrznej harmonii, pustoszmy treść naszego życia. Zapędzeni i snobizujący żyjemy pokarmem gołych terminów, walczymy o nie, nie roższyfrowując ich treści, nie sięgając prawdy o ich pojęciach konfrontując je z wiedzą, a nie z prawdą. W kolumnach liter i kolumnach cyfr zaprawionych emocjami sentencji i ozdobionych wnetkami prawd, gubimy człowieka. Życie, o którym opowiadają te litery w sloganach i hasłach, jest filmem, którego człowiek współczesny jest widzem, słuchaczem i manifestantem.

Ludzie przestają rozumieć związek między akcesoriami ludzkiego życia, a samym życiem. Nie poświęcamy życiu samemu uwagi, a jedynie jego objawom. Rozdwajamy naszą jaźń. Energia produkująca wszystkie wysiłki, luknem chybionej paraboli trafia w nicność, a prawda w nas zostaje niezglębiona i niema. Cień Szwajf mroczy nasze dzieje. Bitwa o przyszłość jest bitwą z przeszłością. Nie można nie oskarżać tendencji naszej cywilizacji: nie czytamy w otwartej księdze życia, która zaprasza odnalezieniem prawdy. Gdzie ona?

Do mądrości wiedzie pokora. Zaczniemy od wiary i nadziei. Spójrzmy przez nie na naszego przeciwnika. Pod odpowiedzialnością nieskażonej intencji. Poszukajmy prawdy wszędzie. Ona ośmieszmy niezgodę.

Więc dobiega końca. Prawem naszego przeświadczenia musi być jedno przykazanie: nie krzywdź człowieka.

Nie według prawd fizycznych krzywdą, zadana duszy jest grzechem niewidocznym. Jest dlatego grzechem grzechów wszystkich. Miara tego grzechu jest cierpienie! Miara musi być i cierpienie własne. Odczuwanie go jest sygnałem słuszności, jest głosem racji.

Jak nazwiemy sprzysiężonych? Najprościej. Bliźniemi.

Ryszard Reiff

### Orędzie Kardynała Prymasa do ludności katolickiej Ziemi Odzyskanych

„Kochani w Chrystusie Bracia i Siostry!..

W Polsce katolicyzm jest wiarą narodu i religią mas. W każdej doli był Kościół z ludem polskim a lud z Kościołem. Toteż gdy wybiła godzina rachunków stulecia a Wy, Kochani Bracia i Siostry, ruszyliście z wszystkich dzielnic polskich i z zagranicy, aby się osiedlać na piastowskich ziemiach nadodrzańskich na pomorskich wyżach i wybrzeżach, na Warmii zielonej i nad mazurskimi jeziorami — szedł z Wami Kościół. Nazajutrz po usadowieniu się w nowych siedzibach, otwieraliście opuszczone świątynie, oddawaliście się w opiekę pasterską ofiarnym księżom i zawiązywaliście nowe gminy wiernych pod hierarchicznym przewodem Waszych czcigodnych i jakże gorliwych Księżów Administratorów Apostolskich. W mozołach swych zadań czerpaliście hart z ukochania Polski, a ufność i wytrwanie z wiary i Kościoła. Nie dziwnego, że wspólne dokonania ludności przesiedlonej i dotychczasowych mieszkańców polskich tych ziem stanowią już obecnie jedno z wielkich i pamiętnych osiągnięć narodu.

Niemal pozostaje Wam jeszcze do zrobienia. Nie ma atoli wątpliwości, że ugruntujecie tam ostatecznie polskie i kościelne życie. Trwajcie. Nie poddawajcie się ani lękom, ani zniechęceniu. Bądźcie ufni, spokojni. To, co tworzycie ma się ustalić na wieki. Kościół będzie przy Was i przy Waszych dzieciach, zwiększając z roku na rok szeregi Waszych kapłanów i zgłaszając się do duszpasterstwa.

Nie dajcie się wprowadzić w błąd i nie dopuszczajcie do duszy rozterki, jakoby Kościół mógł mieć zastrzeżenia co do polskiej przyszłości Ziemi Odzyskanych. Nie ma bowiem racji, dla których Kościół miałby pragnąć uszczerplenia obszaru Rzeczypospolitej!..

„Wbrew przeciwnym pogłoskom zapewniam Was również Kochani, Bracia, że Polska nie potrzebuje obawiać się obojętności, a tym mniej ujmę ze strony Stolicy świętej. Ojciec Święty docenia prawa Rzeczypospolitej Polskiej i stanowisko Narodu Polskiego w łonie Kościoła. Choćby ze względu na ogólne dobro Kościoła Powszechnego, którego Polska katolicka, dzięki swej zdecydowanej woli i swej pozycji politycznej, jest niezastąpioną przedstawicielką, nie mógłby żaden Papież być obojętny na losy Rzeczypospolitej!..”

„Więc jeżeli chodzi o Papieża i o Kościół, bądźcie spokojni o swe zagrody, o wkład swej pracy. Bądźcie spokojni o polskich księży i o polskie nabożeństwa. Bądźcie spokojni o polskie jutro swych sadyb i warsztatów. Niech antyreligijna dusznota nie obezwładnia Waszych energii. Stójcie bez wahania tam, gdzie Was poniesła fala nowego życia narodowego, i pracujcie tam wytrwale wierni Polsce i Kościołowi!..”

Następnie Jego Eminencja mówi:

„Jest dalej rzeczą oczywistą, że po potwornym najeździe, którego padliśmy ofiarą, po nieprawdopodobnych stratach i cierpieniach eksterminacyjnej okupacji, po bezgranicznych krzywdach materialnych i moralnych, po najbardziej bohaterskiej obronie niepodległości, jaką dzieje notują, po heroicznym, choć niedocenionym dochowaniu przez nas wierności orężnej zwycięskim sojusznikom — Polska nie może być skazana na to, by przy nowym urządzeniu Europy, ona miała płacić losem swych obywateli i bezpieczeństwem swych granic za następstwa obcych zbrodni.

Z naszej strony chcemy szczerze, wedle zasad chrześcijańskiej etyki życia międzynarodowego, żyć ze wszystkimi w zgodzie i ludzkim braterstwie. Chcemy dobrych i na wzajemnym zaufaniu opartych stosunków z sąsiadami. Przebaczyliśmy wiele, bardzo wiele. I dziś jeszcze raz przebaczymy wszystko. Wyrzekamy się nienawiści. Nie szukamy zemsty. Pragniemy być aktywnym czynnikiem ładu międzynarodowego, zbliżenia i współpracy całej ludzkości. Ale oczekujemy, że budowniczy nowego świata ocenią należycie i uwzględnią naszą dobrą wolę, prawa narodu polskiego i jego nie tylko krwawy, lecz i moralny wkład w zwycięstwo nad przemocą!..

List kończy się słowami:

#### KOCHANI RODACY NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH!

Złóżcie z serca niepokoję. Wylećcie swe dusze z bólu. Krzyczcie się wiarą, że nie na darmo potem swego życiowego trudu użyźniacie odłogi i puszczacie w ruch zakłady przemysłowe.

Budujcie Polskę na zagonie, w mieście, w kopalni, w każdej pracowni — a w duszach, rodzinach i parafiach umacniajcie Królestwo Chrystusowe. Iżby tam u Was i na całym obszarze Rzeczypospolitej Polacy byli sobie braćmi. Iżby w odbudowanej Ojczyźnie każdy czuł się dobrze jako człowiek, jako obywatel Państwa, jako wyznawca ewangelicznej prawdy i jako wierny syn Kościoła. Iżby z świętego poddania się serc polskich i życia polskiego pod słodkie panowanie Chrystusa i sumiennego zachowania Jego przykazań spływały na Naród cały Miłosierdzie, światło, spokój, szczęście prawdziwe i nowe posłannictwa.

Niech Was ma w swej wszechmocnej opiece Wniebowzięta Królowa Polski i wszechświata! Cziczcie Ją serdecznie i codziennie odmawiajcie Jej święty Różaniec.

Ze Stolicy, która ofiarą całopalenia dała świadectwo prawom Narodu do niepodległego bytu i do swobodnego wyznawania Wiary pokoleń, się Wam wszystkim, autochtonom i osiedleńcom, rzewne braterskie pozdrowienia i prymasowskie błogosławieństwo.

Warszawa, dnia 24 maja 1948 roku.

AUGUST KARDYNAŁ HLOND  
Prymas Polski

Powyżej zamieszczamy obszerny wyjątek z Listu Pasterskiego J. Em. Ks. Prymasa Augusta Kardynała Hlonda do katolików na Ziemiach Odzyskanych. List jest ostatecznym przypieczętowaniem tej sprawy, tak ważnej dla wszystkich Polaków a szczególnie dla tych, którzy złączeni są wspólnotą Kościoła Katolickiego i którzy w ostatnich czasach dawali wyraz swemu zatroskaniu

Dm 19/072

Andrzej Chciuk

List z Francji

# MYANS

Nie lubię Lourdes. Szczerze przyznaję, że nie przemawia ono do mnie. Wśród krzykliwego obżarstwa patników co to na schodach Bazyliki, w parku lub przed Grotą jedzą „casse - croute'a", śmiejąc wszędzie iupkami jajek, pudełkami po „camembert'ach" i gazetami, w które jeszcze w domu te specjały zawinęli — wśród krzykliwego tego obżarstwa trudno mi odnaleźć ciszę i skupienie, w jakim tylko można rozmawiać z Matką Boską. Trudno tam się Jej naprawdę pokłonić i przed Jej obliczem odnaleźć siebie.

Krzykliwa komercyjność niektórych miejsc świętych bije wszelkie rekordy w Lourdes. Bardziej tandetnych, kolorowych i wypranych z wszelkiego smaku dewocjonalii nie widziałem nigdzie. (Nota bene są one pochodzenia włoskiego, niemieckiego, a nawet czeskiego — najmniej tu francuskich!).

Tu zachwała się „ciotka św. Bernadetty, tam Jej „kuzynka" Marie Coupirou, ówde „hotel pod Najszą Marią Panną" poleca pokoje po cenie i t. d. Do tego trzeba dodać wrzaskliwość wesołego miasteczka na placu pod platanami, gdzie elektryczne auta przyprowadzają niewybredny lud ekwipunem o spazymy, wiercącego uszy śmiechu i zadowolenia. Dobiły mnie ogłoszenia kolejki linowej, od których roi się wszędzie i afisz w bliskim sąsiedztwie Bazyliki, zapowiadający mecz rugby na najbliższą niedzielę. Nie, to nie dla mnie. Lourdes mnie rozczarowało. Nie lubię go i już.

Za to najwspanialszą atmosferę ciszy, spokoju, prostoty i majestatu Marii odnalazłem w Myans. Pokochałem Myans. Tu Matka Boska jest żywa, ludzka i uśmiechnięta, a na tle sabaudzkiego mają kwitnie, jak kwiaty i kasztany. Tu Jej kult i zapach czeremch — to jedno. Obsa wiośnianie i czyste.

Myans jest to malutka górka wiosieczka w Savoie, nie licząca więcej niż dwieście dusz (w tym już po każdym kontyngent zakonnic i sierot z zakładu). Niedaleko stolicy Sabaudii, Chambery, na wzgórkach zalesionym i zielonym, jak to się tylko w Alpach zdarza, przycupnął wśród orzechów i winnic mały kościółek obmurowany klasztorem i tęgą, jak kasztelański zamek, plebania. Wśród promieni słońca złoci się kończąca wież olbrzymia figura Matki Boskiej, rzut spraw ziemskich ku pogodnemu, nachylającemu się nad mgłami przełęczy i dolin niebu. W zapach sianokosów i mleka przedziwnie cicho wplatają się organy, by śmiały mi kadencjami rozorzmieć za chwilę Ave Maria Gounod'a.

W Chambery o 6.30 rano czekał przed dworcem olbrzymi nowoczesny autokar. Jest to wóz departamentalnego towarzystwa komunikacji samochodowej, który w ciągu mają zapewnić łączność między miastem, a odległym o 10 km. Myans. Normalnie jedzie się tam w sposób bardzo skomplikowany, niedobitkami starych autobusów, jakie uratowały się z amerykańskiego na-

lotu na miasto w czasie wojny. Szofer jest pogodny i grzeczny i pod granatowym fartuchem, ubrany w odświętny garnitur. Później przystąpi do komunii, zostawiwszy w kafejce „A l'arrivee des pelerins" swój kombinezon. Sabaudia jest bardzo katolicka, prefekt jej jest socjalista, a dyrekcja i personel autobusów miejskich w większości, to zwolennicy Thorez'a. Nic to jednak nikomu nie przeszkadza, że codziennie w ciągu mają wóz punktualnie staje przed dworcem, by o 6.45 z mostu św. Franciszka zabrać czekające spokojnie w ogonku dewoty i niedewoty. Nikomu nie przyjdzie na myśl w wolnomysłcielskiej Francji śmiać się z pasażerów autobusu, jadącego do miejsca świętego.

Pierwsze pasażerki to oczywiście dewoty. Ubrane na czarno, siwutkie babuleńki, windują się do wnętrza. Z miejsca zaczynają plotkować o arcybiskupie z Chambery, o drożyznie o karaniu rektora instytutu, i znów o drożyznie. Potem kilku starej daty panów, w wysokich, sztywnych kołnierzykach, za których skacze grdyka i w staromodnego kroju kurtkach. Większość w okularach, większość stara, ale rzeźka. Prawdą jest, że we Francji dopiero koło sześćdziesiątki jest się dojrzalym. Petain i pod względem wieku to nie wyjątek... Mężczyźni raczej milczą. Lecz oto nie tylko stare dewoty obojętne wsiadają do autobusu — siwy czterdziestoletni pan udzielał mi dwa dni temu informacji w Lidze Popierania Turystyki (Syndicat d'Initiative), u młodego bruneta w raglanie kupowałem onegdaj gazety. Garbu-

sek przyjmował ode mnie polecony list na pocztę, innych nie znam, ale są to urzędnicy, robotnicy, nauczyciele. Jest oficer z żoną. Mężczyzn, młodych mężczyzn jest dużo. Nie skauciki, czy ministrowie z młodszych klas liceum, nie baby — ale mężczyźni lat 20 — 40. Są schludnie ubrani, są pogodni i uprzejmi. Za kilkanaście minut przystąpią do komunii, teraz nawiązują rozmowę na temat wozu, mijanego lotniska, sportu i drożyzny.

Wóz jest wypchany po brzegi. Z uśmiechem ugniatają się w przejeżdżających ci, dla których zaparko foteli. Nikt nie krzyczy, nikt nie jest naburmuszony. Rozmowy rozpoczynają się od stereotypowego: vous allez a Myans? Oczywiście wszyscy tam jadą. Wyczuwa się bywalców, są i nowicjusze. Młody człowiek jest z Lyonu, jedzie, bo ślubował. Uczennice liceum jadą, bo dziś święto Matki. Matka ich uśmiecha się i szuka ich twarzy w gęstwie pasażerów. Po drodze na skrzyżowaniach szofer trąbi i bezradnie rozkładając ręce sygnalizuje grupkom stojącym na chodniku, że już nie ma miejsca. Po drodze mijamy wielu harcerzy i harcerki, jadących na rowerach. Zobacz ich potem w Myans, jak w krypcie, ze skrzyżowanymi na miedzę francuską na piersiach rękoma będą postępowali ku kamiennym balaskom. Wszyscy przystąpią do komunii. Potem harcerze i harcerki, śpiewając zjadą w dół, w furkocie chustek. Pojadą na wycieczkę, zaczynając dzień w Myans. Wiatr z nimi.

Moje wojenne wspomnienia z

Myans ożywają. Po latach można tu odnaleźć ten sam smak chwil i ich niezmienną treść, w tym roku Myans zrobiło na mnie jeszcze większe wrażenie, intymność i szczerość rekolekcji, jakie tu w obmarzy, zimowy, brudny poranek przeprowadziłem sam w sobie, mają swój urok i dziś, powiększony o całą wiosnę. Sianokosy pachną w dolnej krypcie. Daleko w dole terkocze jak mechaniczna zabawka pociąg do Turynu. Przez uchylony lufcik w witrażach za Czarną Matką Boską wdziera się do krypty gałąź kwitnącego kasztanu i prześwituje niebo. Czarna Matka Boska, cała ze złota figurka, ubrana jest najprostszymi rumiankami i margerytkami. Złoto i czerń kaplicy tkają się w czyste i skromne koronki. Jest tu cicho. Mimo tłumy jest tu cicho i można być samym. To dużo. Tego nie ma w Lourdes.

Z przed tysiącznego jeszcze roku datuje się kult Matki Boskiej z Myans. Ale dopiero w XIII wieku zasłynęła wszędzie Notre Dame de Myans, gdy zatrzymała u stóp świątyni kamienną lawinę oberwanej góry i uratowała w ten sposób miejscowość. W r. 1248 oberwała się część wyniosłego szczytu Mont Granier i lawina głazów zmiotła kilka wiosek i przysiółków górskich. U stóp świątyni nawała bloków skalnych i kamieni zatrzymała się najniebezpieczniejszej na zboczu, jeszcze do dziś dnia są te omszone gazy we wsi. Wiele z nich użyto do zbudowania wieży i klasztoru. Cud z Myans rozniósł się szeroko w obu Sabaudiach, w Delfinacie, Prowansji, a nawet w

Piemontcie i Szwajcarii. Od tego czasu ciągną tu zewsząd pielgrzymki, a dziękczynne marmurowe tabliczki i vota wybielają ściany krypty i górnego kościoła, dobudowanego później przez bogatych margrabiów i biskupa z Chambery.

Rosły, o wojskowej postawie, opadają mszę. Kazania nie ma. Z ambon nie czyta się nawet ogłoszeń i rozporządzeń. Wiszą w gablotce w kruchcie. Będzie tylko kazanie podczas sumy: mocne, proste i zwężone, niewiele ponad pięć minut. Wszystkie konfesjonały są obstawione kolejkami. Jest jedyna cisza setek ludzi modlących się naprawdę. Ze wsi, z Chiguin, ze St. Jeoire i z Les Abymes od opactwa, zesłał wieśniacy, ubrani w sztywne konfekcyjne ubrania miejskie. Wiele dziewcząt jest w ogromnych koronkowych sabaudzkie czepekach i kolorowych fartuszkach na czarnych krochmalonych spódnicach. Z dalszych wiosek zjechały stare Renaulty i Citroeny, bogate w lata i kilometry, wóz mleczarza z Montmelian i stare ciężarówki na wysokich podwoziach. Są i dwie nowoczesne limuzyny. Motorowe to stado ustawiło się na placu obok autokaru. Wozy są otwarte, są w nich teckzi i torby. Tu nikt nie ukradnie. Nikogo nie ma na placu. Wszyscy są w kościele.

Przez kratki konfesjonału mówię księdzu, że po raz pierwszy będę spowiadał się po francusku, że jestem cudzoziemcem i nie znam formulek. Ksiądz, mimo, że zmęczony dziesiątkami spowiedzi, uśmiecha się i mówi:

— Nie szkodzi. Niech się pan nie żenuje. Allez-y!

To „allez-y" jest kapitalne. To tak jakby powiedział: no, bracie, jechał pan. Jeszcze teraz uśmiecham się do tej spowiedzi, do tego księdza, do Myans. Ksiądz powiedział: idź w pokój. Nie podał ani ręki, ani stopy do całowania. Uśmiechnął się. Tak lepiej i higieniczniej.

Do murów ogrodzenia kościelnego przytulił się jedyny kiosk z dewocjonaliami i świeczkami, które miejscowym zwyczajem stawia się na gwoździach olbrzymiego, jak namiot świecznika. Sprzedaje je stara bezżębna babinka, niepopsuta przez dobry interes dowocjonaliami, która całą swą dobroć włożyła w pomoc przy wybraniu widokówki. Obok, w jedynej ulicy wioski, jest duży sklep z pamiątkami. W małej epicerie oprócz artykułów spożywczych można dostać różańce i pocztówki. To wszystko. Nie ma więcej sklepów, nie ma reklam. Jest cisza wioski, gdzie nawet kurant kościelny jest cichy i senny, gdzie tchnie spokojem z kurzu drogi. Kasztany mają pyszną zielen. Horyzonty są dalekie i czyste. A w świątyni i u bracie nie uroczystość, nie poważnie, nie lekko, ani kadzidlano — ale swobodnie, ale wiosennie, jak w szpalerze orzechów pod murem, jak w młodej o tej porze winnicy, jak pod kasztanami rozłożystymi i zadumanymi. Oddychasz. Chce ci się żyć, chce ci się dobrze żyć. Wierzy.

Matka Boska z Myans jest uśmiechnięta.

Ci cisi ludzie nie urządzają jej jubileuszu. Może zapomnieli o siedemsetlecie cudu? Może lekceważą sobie napływ patników z tej okazji, na czym kościół, zakład i wioska mogłyby zarobić? Nie będzie jubileuszu. Jest cisza i będzie cisza.

Szofer, który pół godziny temu przystąpił do komunii, odebrał swój kombinezon z „Cafe a l'arrivee des pelerins" i z papierosem w ustach trąbi na odjazd. Andrzej Chciuk

## Listy do Krystyny

Nie, to nie będzie przegląd mód — ani poradnik kosmetyczny. Będą to listy miłosne. Najdziwniejsze zresztą w świecie, gdyż będzie w nich o wszystkim tylko nie o miłości. W każdym liście będzie jeden z Twoich rysów charakterystycznych. Więc, gdy skończę te listy będę miał Twój obraz utrwalony — i to wszystkim.

Poza tym listy będą poświęcone krytyce najlepszemu i najgorszemu artykule jaki w prasie ostatnio przeczytałem. Prasa nasza jest liczna i bogata — zarówno w kiepskie jak i (rzadziej trochę) w doskonałe artykuły. Niewiele tylko ludzi może sobie pozwolić na przeczytanie całej prasy choćby tygodniowej. Czas skradziony czytaniu książek dla czytania prasy, jest czasem szlachetnym. Ministrowie i inni wysocy dostojnicy mają specjalnych sekretarzy dostarczających im codziennie wycinki z najważniejszych artykułów. Jeżeli kiedy Twój mąż będzie ministrem każ mu czytać jednaki prasę samemu. — Znam bowiem wypadki co prawda z okresu sanacyjnego... Ale wracamy do tematu.

Zazwyczaj będę nie wiele pisał o „Dziś i Jutro", — czytelnicy tego pi-

sma aż nadto dobrze znają zbyt blada, jak na mój gust zawartość kolejnych numerów. Dzisiaj jednak zaryzykuję najwyższą pochwałę i najgorszą naganę tym artykulem naszego pisma. Pochwała dla Kętrzyńskiego „Konsekwencje Encyklik Społecznych" nr. 23. — nagana dla Markowskiego „W obronie Tadeusza Hołuj" nr. 22.

Artykuł Kętrzyńskiego jest próbą wielkiego programu uniwersalistycznego katolików polskich. Jest ledwie naszkicowany, jest najeżony paru zasadniczymi błędami. Ale posiada zalety, tak częste u tego młodego publicysty, — tak rzadkie w naszej prasie i w naszej epoce. Zdolność konstrukcji, jasność definicji i określeń, — a przede wszystkim śmiałość myśli.

Stanisław August, — ten sam który nazwał „O skutecznym rad sposobie" — pierwszym zaledwie belkotem rozsądku w Polsce, „wybił na cześć Konarskiego medal z napisem „sapere auro"; temu który ośmielił się myśleć. Artykuł Kętrzyńskiego zasługuje na jak najgłębsze zastanowienie i co ważniejsze przedyskutowanie przez wszystkich, tych, którym leży na sercu przyszłość katolicyzmu w Polsce, — lub też którzy za tę przyszłość odpowiadają. Byłoby może wskazanym uprzęstnić ten artykuł i zagranicę.

Zarzuty moje pod adresem Markowskiego dotyczą mniej treści — więcej niedopuszczalnej kameralności jego artykułu. Sumujmy fakty. W nr 15 „Dziś i Jutro" Markowski napisał recenzję ze sztuki Hołuj pt. „Dom pod Oświęcimiem". W recenzji nie podał ani treści sztuki, ani całokształtu problematyki. Inne pisma zaatakowały sztukę dość mocno jako niemoralną i niespolecz-

na! Hołuj napisał komentarz do sztuki, w której broni się przed tymi zarzutami, i wyjaśnia swoje zamiary. Borejsza stwierdził, że sztuki nie ratuje komentarz w formie artykułu. W nr 23 „Dziś i Jutro" Markowski wraca do tematu, i znów nie podając ani treści sztuki ani szczegółowych zarzutów, ani treści odpowiedzi, bierze Hołuj w obronę, i dowodzi że sztuka jest taka, jak ją autor w komentarzu przedstawił, nie zaś taką jak krytycy (bez komentarza) widzieli. Byłoby arcydziełem publicystyki obronić tezę Hołuj - Markowski.

Nie o to jednak idzie. Idzie o to że „Dziś i Jutro" nie jest pismem tylko dla tych, którzy: a) byli na sztuce Hołuj, b) czytali krytyki w różnych pismach, c) czytali komentarz Hołuj, d) czytali odpowiedź Borejszy. Stąd autor był obowiązany wszystkie te elementy czytelnikowi streścić. Zaniedbanie tego podstawowego dla publicysty obowiązku — informatora! — czynienie z naszego tygodnika jakiegoś organu małego kółka intelektualistów pogardzających niewtajemniczonymi — o to zarzuty, które pozwalają mi tak ostro ten artykuł doskonałego krytyka teatralnego potępić.

Proszę przeczytać parę recenzji teatralnych w Nouvelles Litteraires — u nas w Polsce Brezy!

Taki to i pierwszy mój list miłosny. Więcej w nim jadu niż miłości — niech i tak będzie. Każdy ma swój sposób kochania, i od Ciebie tylko zależy — a może nawet jak twierdziła Ninon de Lenclos nie zależy — czy się do mego przystosujesz.

Pocieszam się, że trudniej będzie przystosować się autorom artykułów naganionych. Twój Erasmus

### Zgłoszenia do Małego Seminarium Duchownego w Słupsku

Młodzieńcy, którzy posiadają t. zw. małą maturę i pragną poświęcić się służbie Bożej, jako kapłani świeccy na Odzyskanych Ziemiach Zachodnich, mogą zgłaszać się do Małego Seminarium Duchownego w Słupsku, ul. Karola Szymanowskiego 5

Do zgłoszenia należy dołączyć:

1. własnoręcznie dokładnie napisany życiorys,
2. świadectwo małej matury,
3. świadectwo chrztu św.
4. świadectwo moralności od ks. prefekta,
5. świadectwo lekarskie
6. dwie fotografie.



Poniżej drukujemy głos p. Józefa Majkuta, znanego już naszym czytelnikom autora wspomnień o Karolu Namysłowskim, na temat upowszechnienia książki. P. Józef Majkut był osobliście uczestnikiem akcji roznoszenia książek do domów w swym rodzinnym Starym Zamostku i zdanie jego na temat reakcji odbiorców specjalnie zasługuje na uwagę czytelników „Dziś i Jutro” i organizatorów bibliotek wędrownych.

#### REDAKCJA

Był sobie raz... w kraju zamożnych fabrykantów i mniej zamożnych robotników — pewien myślący redaktor. Drukował w swoim piśmie rzeczy ciekawe i pouczające. Czerpiąc z mądrości wieków i najnowszych doświadczeń, redaktor ów podawał jasno i zrozumiale praktyczne rady, które zda wało mu się — zastosowane w życiu przez klepiący biedę plebs, mogły radykalnie zmienić na lepsze jego warunki materialne, nadać sens istnieniu. Niestety, pismo to wśród ludzi, dla których było przeznaczone, nie znalazło zbyt wielu prenumeratorów. Redaktor chcąc się dowiedzieć jakie są przyczyny tak małej poczytności pisma, w które wkładał całą swoją wiedzę i serce — posłał w teren licznych akwizytorów, aby zbierali prenumeratę.

Nie spodziewał się zbyt pomysłnych wyników, ale ciekawy był bardzo, z jakimi uwagami spotkają się jego akwizytorzy

Jakoż w rzeczy samej, nie więcej niż 3% spośród „nagabywanych” zaprenumerowało mądre pismo, a więcej niż połowa podała jako główny powód, że... „nie ma czasu na czytanie”.

Trudno było redaktorowi w to uwierzyć, aby w spokojnych czasach, człowiek choćby najbardziej zapracowany nie miał naprawdę czasu na przeczytanie niechby tylko dwu stronic dziennie.

Nie, właściwym powodem nieczytania — jak stwierdził ów redaktor — było wśród przeciętnych rzesz duchowe lenistwo, wrodzony wstręt do myślenia i szukania nowych dróg.

Szerokie masy woła wlec się starymi utartymi drogami, stadami baranów za trykiem, niż myśleć i zastanowić się nad tym, co się wkoło nich dzieje.

Odpowiadając „nie mam czasu na czytanie” ludzie ci stwierdzili przez to samo, że nie mają czasu na korzystanie z doświadczeń pokoleń i z najnowszych zdobyczy wiedzy stosowanej. Nie mając czasu na poprawę swego bytu, ani na decyzję o swoim losie, woła by inni w ich sprawach rozstrzygali — woła biedować, być niewolnikami.

#### A JEDNAK INNI MIELI CZAS...

Był sobie raz... chłopiec, który mając lat 15 przestudiował książkę p. t. „The elements of philosophy”. Książka ta pobudziła go do doświadczeń nad siłą pary — zapoczątkowując tym samym w dziejach świata nową erę... Chłopiec ten, to James Watt,

#### Józef Majkut

## ZDARZENIA PRAWDZIWE TYSIĄCA

a rezultat jego pracy jest wszystkim znany.

W mniej szczęśliwym od Jamesa Watta położeniu znajdował się George Stephenson. Będąc synem robotnika fabrycznego, w osiemnastym roku życia jeszcze pasł krowy i nie umiał czytać. Ale skoro zdobył tę sztukę — książka stała się podstawą jego myśli, a myśl tego człowieka, stwarzając kolej żelazną — przyniosła światu więcej korzyści, niż praca ludzi, zwierząt i maszyn w ciągu całych pokoleń.

Pomysł hamulców, które tak wydatnie podniosły bezpieczeństwo podróżowania koleją — przyszedł Jerzemu Westinghouse po przeczytaniu pewnego artykułu w czasopiśmie „The Liwing Age”.

Konstruktorzy pierwszego praktycznego samolotu bracia Wilbur i Orville Wright — zawdzięczają swój aparat przeczytaniu książki Lilienthala „O sztuce latania”.

Przemysł sztucznego jedwabiu rozwinął się dzięki temu, że John Mercer idąc do kościoła na swój ślub — zauważył na wystawie książkę p. t. „The chemical pocket book”. Ta kieszonkowa chemia, nabyta w tej samej godzinie co i żona — była mu drugą najmiłą towarzyszką życia, a posag, jaki za tę „miłość” wniosła —

przeszedł wszelkie oczekiwania. Bo wiem książka ta zwróciła uwagę Mercera na używanie chemikalii przy wyrobach włókienniczych, co najpierw doprowadziło do sposobu nadawania bawełnie połysku, a potem wynalezienia sztucznego jedwabiu.

A któż nie zna wspaniałych sukcesów Henry Forda... Terminował na zegarmistrza dokąd w jednym z przeglądów technicznych nie przeczytał artykułu o nowowynalezionym powozie bez koni... Dzięki temu, zwrócił on swoją uwagę na produkcję samochodów i maszyny Forda stały się znane na obu półkulach. Pozostawił on po sobie nie tylko dobrą markę wozu i znaczny majątek, ale nie mniej wielki i ważny, zebrany w kilku książkach kapitał myśli i doświadczeń.

Czternaście lat miał również Andrzej Carnegie, kiedy pewien uprzejmy pułkownik pozwolił mu korzystać ze swojej biblioteki... Ucząc się tylko w ten sposób, zdobył on potem tytuł króla stali i olbrzymi majątek. Zawdzięczając swoją fortunę otwartej bibliotece światłego obywatela — Carnegie postanowił, dla wszystkich chętnych wiedzy — otworzyć więcej takich bibliotek. Tym właśnie tłumaczy się fakt, że człowiek ten nie zostawił nikomu w spadku ani grosza,

ale za to pozostawił w różnych częściach świata 1600 bibliotek i choć sam nigdy na żaden uniwersytet nie uczęszczał — pobudował dla innych wiele szkół i uniwersytetów.

Ale nie tylko u Anglosasów, nie tylko w wieku pary i elektryczności... U wszystkich ludów cywilizowanych i w każdej epoce, od hieroglifów egipskich począwszy, aż do naszych czasów — można by przytoczyć takich przykładów tysiące...

Jedna przypadkowa książka, niekiedy jeden mały artykuł lub zatarty napis — padając jak iskra zapalająca — wznieca jakies nowe ognisko, szersze oświetla horyzonty.

Nieprzeorane ugory myśli ludzkiej, w każdym zakątku świata czekają wciąż na siewne ziarno...

#### CZEKAJĄ NA KSIĄŻKĘ...

We wsi Majdołki, 317 km od stolicy — żył mały chłopczyzna imieniem Dziug.

Do Majdołek nie dochodziła żadna droga bita, żelazna, ani tym bardziej „światła”. Mówiąc językiem Filmu Polskiego: „Ciemne łany” teatr, radio, kino tam oczywiście nie znane. Ba, nawet tak miłosierny mąż, jak św. Mikołaj nie mógł nigdy do Dziuga trafić.

Nie miał on jednak o to żalu do nikogo, bo ani o Mikołaju, ani o innych

# 1798 - 1948

W 150 ROCZNICĘ URODZIN POETY

## NARODOWE WYDANIE DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA

pod wysokim protektoratem Prezydenta R. P. Bolesława Bieruta, na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej z dn 5.V. 1945 r., na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

ogłasza

### PRZEDPŁATĘ

na Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza

obejmujące w 15-tu tomach, w 4-ch seriach całość spuścizny duchowej Poety.

Tekst krytyczny opracowany na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki staraniem Komitetu Redakcyjnego pod przewodnictwem Leona Płoszewskiego. Wydanie na papierze bezdrzewnym, w okładce pólstywniej.

WARUNKI PRZEDPŁATY SERII PIERWSZEJ

obejmującej całość twórczości poetyckiej Adama Mickiewicza

w 4-ch tomach, o łącznej objętości 1700 stron, w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy

1. Wszystkie 4 tomy serii pierwszej ukażą się jednocześnie w dniu 15 listopada b.r. i będą wysyłane zamawiającym w kolejności zgłoszeń.
2. Cena czterech tomów stanowiących serię pierwszą wynosi w przedpłacie łącznie 800 zł, płatnych jednocześnie z podpisaniem deklaracji lub też w 4 ratach po 200 zł — w miesiącach: czerwcu, lipcu, sierpniu i wrześniu, albo w dwóch ratach po 400 zł — płatnych w miesiącach: czerwcu i wrześniu — na konto P.K.O. I — 7474. Cena w sprzedaży księgarskiej będzie dwukrotnie wyższa.
3. Zamawiający wypełnia deklarację, w której zobowiązuje się do uiszczania całej należności w terminach przewidzianych i przez siebie wybranych i przesyła ją pod adresem:

„CZYTELNIK”, INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA, ul. DASZYŃSKIEGO 14.

Deklarację można otrzymać we wszystkich księgarniach

4. Zgłoszenie przedpłaty na serię pierwszą nie pociągą za sobą obowiązku zamawiania dalszych serii. Natomiast zamawiającym serię pierwszą będą przysługiwały przy seriach następnych.

Dokładne warunki i terminy ukazywania się serii dalszych będą podane w osobnych ogłoszeniach i prospektach.





WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

4

# LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem“

Reszta listu była już mniej istotna i dotyczyła spraw, które Ksawerego ani nie zajęły, ani nie zmusiły do uwagi. Obracała się wokół Stendhala, Dewin stwierdzał z triumfem, że Stendhal był właściwie plagiatem. Analizował dalej różnicę między wielbicielami Stendhala: beylistami i stendhalistami. Pierwszych interesuje — pisał — sama egzystencja autora „Rouge et noir“, jego ścieżki życiowe, nieraz tak podobne do ścieżek Tartuffe'a. Drudzy zajmują się tylko dziełem pisarskim, admirują w Stendhalu to tylko, co straciło warty z perspektywy czasu byt osobisty, a nabrało przez kształt słowny charakter wiecznego istnienia, żywego i odnawiającego się inaczej w każdym nowym pokoleniu.

Z uwagi na objazd Konrada obiad został podany dużo wcześniej. Konrad powiedział, że nie zazdrości ludziom, którym w życiu nic już innego nie zostaje jak przyjemność jedzenia.

— Był eunucha — określił.

— Tak, ale są inni, dla których kwestie jedzenia są w ogóle najwyższą skalą duchowego wzniesienia. Poza to koło nie przejdą. Wszystkie ich myśli tutaj się zbierają, gęstnieją jak śmietana na mleku, na tej granicy mają swój najwyższy lot.

— Gdzież tam — uśmiechnął się Konrad — chyba tego nie zechcesz ganić? Jesteś teraz w dziwacznej, jak na moje gusty, fazie trzeźwości. Ostatecznie, jedzenie, to jest coś realnego.

— Żartobliwy jesteś.

— Żarty! W końcu, to są pozory. Mówiąc jednak naprawdę, twoja wczorajsza filipika przeciw przestrości wyobraźni wydała mi się, darując, objawem swoistego duchowego dorobkiewiczostwa. Dorobkiewicz duchowy to jest ktoś, kto się pewnych rzeczy w dziedzinie kultury dopracował. Lecz nie jest ich pewny, podejrzewa, że te świeże nabytki są jeszcze kruche i dlatego jest ostrożny. Ostrożny — i już od razu zmęczony, zmęczony skrzętnością, z jaką zbierał swoje bogactwa. Ostatecznie, najczęściej nie jest krezusem, jest tylko człowiekiem zamożnym. Jest gotów nawet do pewnych wysiłków, byle były zagwarantowane, byle ich triumf dał się buchalteryjnie obliczyć. Nic z ryzyka.

— Czasami myślę, że ty ryzyko pojmujesz jako rodzaj sportu.

— Nie. Jako konieczność. Wierzę, że w życiu, aby wygrać, jeśli się chce w ogóle wygrać, trzeba iść do stawki. Dużą stawkę.

— Stawiałeś na rewolucję — niemal nikt za tobą nie poszedł. Byłbyś w końcu dziecinny, gdybyś się dłużej upierał. Postawiłeś na przemyśle pokoleń, niemal nikt cię nie posłuchał. Co teraz?

Konrad się skrzywił.

— W tym tonie daleko nie dojdziemy. Gdy jednak się znudzysz becznością, będę cię czekał.

— Jak marnotrawnego brata.

— Jak trudnego brata. Na tobie ciąży przeszłość, a ja jestem wolny. Cała różnica.

— Co za złudzenie! Jak się ty lubisz łudzić.

Konrad wzruszył ramionami.

— Muszę już jechać. Tak teraz jest, że do mody należy traktować życie jako różne formy fikcji. Uprawiają fantastykę. I dlatego uderzenie życia, surowe jak każde uderzenie, przyjdzie jak uderzenie obuchem.

— Przepowiadasz koniec świata?

— Jeśli tak dalej pójdzie, przepowiadam klęskę.

Ksawery odprowadził go do samochodu. I dopiero, gdy samochód zniknął za bramą, gdy warkot motoru cichł w stronę Leśnej, zaczął rodzaj żalu, że Konrad odjechał. „Nowe wcielenie Konrada — Cassandra“ — pomyślał z dobroliwą ironią. Był że w tym poczuciu żalu zwyczajny, serdeczny ton braterski? Odzwyczyli się widzieć w nim brata. Konrad był dla Ksawerego przede wszystkim pewnym zjawiskiem, zjawiskiem, zasadniczo nie należącym do sfery wewnętrznej. Wszystkie pokusy, które Konrad przynosił, były trochę abstrakcyjne. „Gdybym miał więcej osobistej ambicji“, — pomyślał Ksawery.

Na trzeci dzień po odejściu Konrada pojechał Ksawery do Warszawy. Mieszkanie wydało mu się nie tylko nie przewietrzane, ale i puste, wymarłe, odludne. Nie wstąpił do stryja Marcina. W ostatniej chwili zmienił plan. Przede wszystkim chciał uregulować sprawy po ojcu, mieć spokój spraw załatwionych, żeby już nic nie było niecierpiącego zwłoki. Potem reszta, potem i ten Adam, o którym teraz myślał wręcz nie bez strachu. Czyjs nowy żywot, czyjs obce łamanie się ze światem. Nie mógł się w ogóle zdecydować na odwiedzin u stryja Marcina i prosił listownie, aby mu stryj Marcin przywiózł Adama do Warszawy.

Ojciec żadnej ostatniej woli nie pozostawił i Ksawery zastanawiał się, czy to był przypadek, czy przemyślane postanowienie. Może w ten sposób chciał ojciec rozwiązać sytuację pani Anny i Konrada? Brak ostatniej woli nie naruszał w niczym ich położenia, w sposób milczący — przeciwnie — przywracał ich do praw. Ojciec dawał z za grobu dowód pojednania i rezygnacji ze swego wiecznego protestu, rezygnacji z pretensji. Przekreślał to, co całe życie uważał za krzywdę.

Młody Adam zostawał tymczasem w Warszawie, stryj Marcin po paru dniach wyjechał; stanowczo duże miasto szkodziło mu, odbierało mu resztę pewności siebie. W tramwajach, w kawiarniach, wszędzie niemal, dokąd poszedł, uprawiał politykę drobnych kłótni, politykę przy jego kalecwie wręcz karkołomną i szaleńczą. Miała jednak dla niego walor psychiczny. Stawiała go w pozycji zuchwałej, w pozycji żądania. Była to fikcja, uprawiał ją jednak z zapalem zdeteterminowanej zaciekłości. Klócił się na kartkach swojego podręcznego notetu z kelnerem, których słów w zdenerwowaniu nie mógł się nawet po ruchach warg domyślić, z konduktorami tramwajów, którzy go lekceważyli za jego wielokrotne upewnianie się, czy wysiąść należy na siódmym czy na szóstym przystanku, licząc od miejsca, w którym zadawał pytanie. Wszystkie jego drobne rachunki w kawiarniach i w restauracjach wydawały mu się podejrzane. Był przekonany, że mieszkańcy tego miasta oszukują na każdym kroku. Dziwny, stale zirytyowany pan z prowincji, nie rozstający się z bloczkiem, w którym wypisywał nieprzyjemne uwagi i w chwilach podniecenia nawet epitety. Adam próbował łagodzić te trudne położenia, w jakie stryj Marcin się sam wprowadzał, próbował pośredniczyć w sytuacjach bardziej napiętych, co stryja Marcina przyprawiało niemal o furję.

— Oto jest — wypisywał w swoim bloczku i nie kończył, dowiadywał ustnie, nie słysząc własnych słów — zły syn, który nie staje po stronie ojca. Twoim obowiązkiem jest zawsze być po mojej stronie.

Adam wstydił się za ojca wobec tej przy padkowej publiczności, która się wokoło nich, nie odczuwając potrzeby dyskrekcji, skupiała, ironiczna i mileżąca, pełna dezaprobaty. Wstydił się nawet wobec Ksawerego i wdychał, aby ojciec nareszcie wyjechał. Wtedy mogłaby się dopiero zacząć prawdziwa swoboda, chodzenie do kina, cho dzenie na ciastka. Stryj Marcin był oszczędny i uważał, że zjedzenie na dzień dwu ciastek jest już objawem nieprzyzwoitego łakomstwa, a chodzenie do kina, tym więcej, że do kina chodzi się zwykle dopiero wieczorem, wręcz zdrożnością. Co do niego, nie zmienił swych obyczajów w Warszawie: po godzinie siódmej wieczorem nie dałby się za nic skłonić do wyjścia z domu, a przed dziesiątą leżał już w łóżku. Poznawszy później nieco Krystynę Trzebińską, Adam podziwiał ją przede wszystkim dlatego, że niemal nigdy nie jadła normalnych obiadów. Zamiast zupy i nudnych potraw piła czarną kawę i jadła ciastka. „To musiało być wspaniałe“ powiedział Ksaweryemu, ale Ksawery wzruszył tylko ramionami. Owa entuzjastyczna ocena zwyczajów Ewy w zakresie obiadów utrwaliła Ksawerego w mniemaniu, że z Adamem będzie ciężka sprawa.

Zaimprovizowany egzamin wykazał, że młody człowiek ma wiadomości fantastyczne, lecz nie gruntowne, szczególnie w za-

kresie matematyki i religii. Ksawery przysłuchiwał się temu egzaminowi i podziwiał swobodę, z jaką Adam zapewnił, że bogów jest trzech, a dzielić ułamków przez ułamki w ogóle nie można. Ten debiut był nieporadny jak i cały wygląd Adama w kurtce, zapiętej pod szyję na haftki, w długich butach. Czerwielił się, ilekroć ktoś obcy, pochynając od Ksawerego, zwracał na niego uwagę. Niemniej, jeszcze nim stryj Marcin odjechał, Adam został poddany pewnym zabiegom w zakresie stroju: Ksawery kupił mu płytkie czarne pantofle i zaprowadził go do krawca, gdzie obaj wybrali materiał na ubranie. Ksawery powiedział krawcowi, że ubranie należy uszyć „bez tych — haftek“, co wywołało na twarzy Adama nowy atak papuziej czerwoności. Ksawery był wściekły potrosze na stryja Marcina, potrosze na siebie za tę ideę opieki nad piętnastoletnim dziwologiem, nastrojonym tak dalece heretycko wobec chrześcijańskiego Boga jedyne.

— Musisz mi znaleźć — powiedział do Moniki — jakiegoś nauczyciela z zakładu dla dzieci zaniedbanych umysłowo. Mój Adam bije wszystkie rekordy.

Istotnie, bił wszystkie rekordy. Zabranym kiedyś przez Ksawerego do Czelepińskich, zdjął w przedpokoju palto i okazało się, że jest w kamizelce i w krawacie, wduszonym w sztywny kołnierzyk, ale bez marynarki. Stał, czerwony jak piwonie, bezradny i oślepy ze wstydu, przyglądał się białym rękawom koszuli.

— Zapomniałem włożyć marynarkę — wyjąkał.

Posłali go do domu, aby uzupełnił garderobę, ale Adam nie wrócił. Ksawery osądził, że to jedno świadczy na jego korzyść: Chłopak jest ambitny. W końcu, pojechali po niego obaj z Tadeuszem i wyciągnęli go, już ubranego kompletnie, z jego pokoju, gdzie siedział z twarzą zakrytą obu rękami na znak rozpacz. Nawet Tadeusz Czelepiński, zawsze raczej ponury i zgryźliwy, nie skłonny do żartów, zaśmiewał się jeszcze wieczorem, gdy Ksawery i Adam już odeszli.

Czy Monika i Tadeusz byli małżeństwem dobrze dobranym, tego Ksawery nie był pewny. Sami ze siebie byli zadowoleni w sposób dosyć formalny i poprawny i wyglądało jakby między nimi nie było nic tak dalece ważnego, co by ich mogło bądź rozdzielić, bądź łączyć. Istniała bezwątpienia jakaś sfera wspólnego porozumienia. Ale poza nią istniały wyraźnie dwa odrębne style życia, styl Moniki i styl Tadeusza, korzystające wzajemnie z szerokiej tolerancji. Trudno byłoby powiedzieć, że Monikę w jakikolwiek sposób interesowały sprawy konfitur czy obiadu. Raczej leżały poza nią, jeżeli się tym zajmowała, to z przypadku, że nie było nikogo innego w domu, kto by te sprawy mógł wziąć na siebie. Wyniki były trochę zdane na przypadek i Monika twierdziła, że jeżeli Tadeusz nie zjada codziennie przypalonych obiadów, to zawdzięcza tę okoliczność przede wszystkim biegowi okoliczności. To natomiast, co ją naprawdę zajmowało, nie było niczym więcej jak życiem szkoły, w której uczyła psychologii dziecka i wstępnych zagadnień filozofii. Było to pedagogium nauczycielskie i Monika brała wszystkie sprawy, związane z jej szkołą, niezwykle poważnie. Nie nawet, ażeby jej szkoła przedstawiała resztę świata; i po prostu, na tę resztę nie starczało już czasu. Do każdej lekcji przygotowywała się niezwykle sumiennie. Nigdy nie potrafiłaby powiedzieć trzech zdań o teorii obowiązku. Ale potrafiła wykonywać obowiązki — bez emfazy i może nawet bez widocznego, rzucającego się w oczy zapału. Odrobinię mechanicznie, jako konieczność, która jest prosta i zrozumiała.

Ksawery, w którym wreszcie należałoby podkreślić bardzo dobitnie jedną z jego zasadniczych skłonności, skłonność do podpatrywania innych ludzi i do umieszczania ich pod mikroskopem własnej pamięci, doszedł do wniosku, że Tadeusz Czelepiński nie domaga się od Moniki niczego więcej, że właśnie jej opanowany i dobrotliwy spokój wewnętrzny jest mu może aż potrzebny

dla uzyskania własnej równowagi. Ostatnimi czasy wpadał do nich często późnym wieczorem i nieraz wyciągał ich oboje na kolację na miasto, o ile Monika nie była zbyt zmęczona. Wtedy zostawał u nich. Tadeusz miał między dziewczętą a jedenastą wieczorem przerwę w redakcji i wtedy nieodmiennie przyjeżdżał do domu. Wnosił ze sobą niepokój, nie to nawet, raczej nerwy, szybkość, pośpiech. Nie bywał nigdy wesoly, rzadko był swobodny, zawsze go coś nurtowało, męczyło. Monika, nie pytała o nic, to Ksawery starał się co nie co z Tadeusza wydobyć. Nie było w tym nic trudnego, po prostu, Moniki życie, w którym Tadeusz tkwił po uszy — nie zajmowało. Sam ten gatunek zagadnienia był dla niej obcy.

— Nienawidzę swojej epoki! — wybuchnął Tadeusz. — Czasami jest wstyd być człowiekiem.

— Ależ dlaczego? — dziwiła się, unosząc powieki i uśmiechając się, jakby łagodząc sprawę, dodawała: — Przesadzasz, Tadeuszu.

— Przesadzam — powtórzył. — Doprawdy, jest straszliwie być człowiekiem, kiedy się patrzy i kiedy się również za patrzeć ponosi odpowiedzialność. Ach, mnie nie chodzi o garstkę pięknoduchów, którzy cierpią na histerię jak pokolenie Shaw'a cierpiało na spleen. Jeżeli mówią, że człowiek jest nieodpowiedzialny, to są w końcu tylko zgniłymi jabłkami, które opadły z drzewa i które przewrót społeczny, usunie jak się usuwa śmiecie, oni są zupełnie na marginesie.

— Przewrót społeczny — powtórzył z przekąsem Ksawery.

— Ja wiem, to nie jest dla ciebie. Nazwijmy to wielką przemianą, jeśli bardziej twar dą nazwa drażni twoje uszy. — Odsunął talerz z szynką, jakby na znak protestu. — Reformy mnie nie obchodzą, to rzecz liberałów. My musimy być bardziej całkowici. Naturalnie, wolność polityczna, nie jest bez wagi — u licha, raczej pozory wolności. Niech będą chociaż pozory.

— Ciągłe nie rozumiem, co ciebie tak wzburzyło — powiedział Ksawery. Czelepiński wzruszył ramionami.

— Istotnie, wszystko jest w zupełnym porządku na tym najrozkoszniejszym ze światów. Ale naprawdę, mówię ci, człowiek jest zwierzęciem groźnym.

— Ależ o co ci chodzi?

— Wtedy, gdy dla ślepego jest widoczne, że idzie huragan, gdy ślepy dojrzy skąd jest ten huragan, my robimy wszystko, aby pozbawić się pomocy naturalnego naszego sojusznika w tym starciu — Rosji. Nawet wtedy zwycięża, naturalnie, interes klasowy. Wiecie, o czy mówię, o diabelskiej historii paktu wschodniego.

— Widocznie nie był potrzebny wobec polityki sojuszu brytyjskiego.

— Nie był potrzebny. Tak samo mówi Lewiatan, że robotnikowi nie są potrzebne ani ubezpieczenia socjalne ani prawo pracy. Idylla. Dlatego mówię, że człowiek jest groźnym zwierzęciem: jest okrutny, to jeszcze nic. Ale jest ślepy, raczej zaślepiony — to, co najbliższe skóry, co wygodne, zasłania mu resztę. I nigdy człowiek nie jest tak okrutny, jak w obronie swojego ochłapu, swojego kawałka kości. Warczy i kłapie zębami.

— Socjalizm jest też walką o kość.

— Tak, tak. Ale jest walką o sprawiedliwość, o to, aby każdy coś dostał. Tylko nie nasz polski socjalizm — dodał melancholijnie. — Nasz socjalizm jest w defensywie, cierpi na niedokrwistość. Broni reform, zdobytych już w roku 1918, broni i oddaje swoje pozycje krok za krokiem, potrząsając przy tym czerwonym a spłowiłym sztandarem. Przecież patrzę na nich z bliska. Nie mają tyżka odwagi!

— Odwaga bywa niebezpieczna, zwłaszcza, gdy się opiera o ryzyko.

— Bzdura. Nic inaczej się w życiu nie tworzy jak przez odwagę. Luter, Marx, nawet Napoleon III — wszyscy oni musieli mieć odwagę. I to odwagę ataku, a nie obrony. Obrona jest najgorszą formą reformizmu, degeneracją klasy. Powiedziałem, mnie reformy nie obchodzą, mnie obchodzi wielka przemiana. Reformy to są plasterki z angielskiego papieru, którymi się chce leczyć ranę.

Nie zawsze były te rozmowy wieczorne tak jednostronne, tak bardzo przypominające monolog rezonera z teatru.

(C. d. n.)

